

stały ostatnio skonkretyzowane w dokumencie kopenhaskim KBWE z 29 czerwca 1990 r. Rząd RP zamierza w pełni realizować postanowienia tego dokumentu w stosunku do mniejszości niemieckiej, jak i innych mniejszości żyjących w Polsce. Lecz korzystanie z uprawnień musi być zgodne z prawem międzynarodowym i prawem polskim oraz winno służyć umocnieniu dobrego współżycia Polaków i Niemców. Wszelkie mniejszości winny przestrzegać zasady lojalności wobec państwa zamieszkania.

Chciałbym podkreślić, że wspólna polityka obu rządów zmierza do tego, aby mniejszość niemiecka w Polsce stała się ważnym pomostem w porozumieniu i pojednaniu polsko-niemieckim. Takim samym pomostem mogą stać się Niemcy, którzy w przeszłości zostali zmuszeni do opuszczenia swoich stron rodzinnych.

* * *

SŁOWO O MNIEJSZOŚCI *

„Uważam (mam na to dowody z woj. katowickiego), że część ruchów autonomicznych na Śląsku inspirowana jest przez środowisko dawniej, skompromitowanej nomenklatury, która dąży, aby rzeczywiste zmiany ustrojowe w kraju blokować nieporozumieniami takimi jak wyszczególnienie jednego regionu” — stwierdził poseł Jerzy Wuttke, przewodniczący Sejmowej Komisji Mniejszości Narodowych i Etnicznych, która w dniach 6-7 listopada badała sytuację mniejszości niemieckiej na Śląsku Opolskim.

Na wtorkowym spotkaniu, którego gospodarzem był wojewoda opolski — Ryszard Zembaczyński, oprócz posłów w komisji obecni byli: wiceminister edukacji narodowej Andrzej Janowski, delegat pełnomocnika rządu ds. reformy samorządu terytorialnego — Czesław Tomalik, poseł Włodzimierz Cimoszewicz (który tego dnia miał spotkanie przedwyborcze w Opolu), senator ziemi opolskiej Józef Góralczyk.

Niemców zamieszkałych w Polsce reprezentowali: Johann Kroll — przewodniczący Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Mniejszości Niemieckiej Śląska Opolskiego oraz Herbert Stanek — członek Towarzystwa.

Debata bez polityki

„Dwudniowa sesja wyjazdowa jest elementem rutynowej pracy komisji i nie spowodowały jej żadne nagłe okoliczności” — powiedział, poseł Wuttke. Wyjaśnił, że zamierzeniem komisji nie jest prowadzenie gorących debat politycznych — rządowi zostawiając, co rządowe.

„Chcemy na bazie porozumienia Kohl-Mazowiecki ustosunkować się do zawartych w nich treści dotyczących mniejszości oraz dopilnować ich realizacji”.

Prace ukierunkowano na sprawę kultury, nauki i oświaty — te sfery życia, w których komisja może być użyteczna od zaraz.

Pozbyć się kompleksów

„Jesteśmy dziś uznani nie tylko w Polsce, ale i na całym świecie — stwierdził Johann Kroll — prosimy o rozpowszechnienie tolerancji! Zarzucił *mass mediom* tendencyjność i krzywdzące ukazywanie mniejszości niemieckiej. „My jesteśmy ludźmi spokojnymi. Nigdy nie stwarzaliśmy klimatu sprzecznego z dobrem Polski!”.

* „Gazeta Wyborcza” z 15 XI 1990.

„Niemcy nie są wrogo nastawieni do Polski — poparł go Herbert Stanek — czas, by Polacy wyzbyli się kompleksu niższości i strachu wobec Niemców”.

Towarzystwo

Nikt dokładnie nie wie, ilu Niemców zamieszkuje Opolszczyznę. Oceny wahają się w granicach od 130 tys. do 300 tys. osób. Od dnia powstania — 16 lutego 1990 r. — Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Mniejszości Niemieckiej Śląska Opolskiego do dziś zarejestrowało ponad 130 tys. członków. Mają swoich przedstawicieli w 38 samorządach gminnych województwa, około 380 radnych. W 16 gminach stanowią większość, mają swych wójtów i burmistrzów. Koła Towarzystwa istnieją w 350 z 950 wsi Opolszczyzny oraz w miastach i miasteczkach. Towarzystwo należy do Centralnej Rady Towarzystw Niemieckich w RP.

Są ludźmi prostymi — rolnikami związanymi z ziemią, którą uprawiają, przeważają ludzie starsi. Sami przyznają się do braku własnych elit.

Język niemiecki

Uważany jest za największy problem. Dopiero od ubiegłego roku przestał być owocem zakazanym. Na tych terenach nie wolno było uczyć niemieckiego. Dlatego tak wielu Niemców nie zna języka ojczystego. Stąd chęć do nauki wyrażają obecnie i starsi, i dzieci. Minister Janowski obiecał pomoc w rozwiązaniu tej sprawy.

Istnieją dwie możliwości nauczania języka ojczystego mniejszości: 1) jako języka obcego obowiązkowego od klasy 5; 2) jako języka ojczystego od klasy 1, rodzice muszą zgłosić deklarację, by ich dzieci uczyły się dawnego języka jako ojczystego.

Minister zwrócił uwagę na naukę języka w przedszkolu oraz na możliwość powstawania szkół społecznych z niemieckim językiem wykładowym. Zaprosił przedstawicieli Towarzystwa na rozmowę do ministerstwa.

Na Opolszczyźnie 157 szkół deklaruje chęć nauki niemieckiego. Obecnie w wielu szkołach język ten jest uważany za nadobowiązkowy. Często zajęcia odbywają się na siódmej i ósmej lekcji, kiedy dzieci są już zmęczone. Przyczyna tkwi w braku germanistów i podręczników.

Edukacja

Członkowie mniejszości pragną, by młodzież była uczone w szkołach tolerancji i wzajemnego poszanowania. „Nie pokazujmy stale tych wojennych filmów” — zaapelował Johann Kroll.

Chcą, by młodzież mogła poznać niezakłamaną historię, geografii i kulturę Niemiec. „Nie jest łatwe przezwyciężanie stereotypu złego Niemca” — stwierdził Henryk Król, syn Johanna Krolla, na spotkaniu zarządu Towarzystwa z Komisją, w którym uczestniczyli też: konsul generalny RFN we Wrocławiu Bruno Weber oraz sekretarz bp. opolskiego Alfonsa Nossola — ks. Andrzej Hanich.

Kościół

Zgodnie z instrukcją bp. Nossola w pięciu regionach duszpasterskich diecezji opolskiej powołano referentów ds. mniejszości. Ich zadaniem jest wprowadzanie nabożeństw w języku niemieckim tam, gdzie zwracają się o to ludzie.

W zeszłym roku odprawiono jedną mszę po niemiecku — na Górze Św. Anny. Uczestniczyła w niej manifestacyjnie duża liczba uczestników. Od tego czasu wprowadzono msze niemieckie w wielu kościołach. Przeważnie są to msze dodatkowe. Przedstawiciele mniejszości domagają się, by tam, gdzie stanowią większość, msze główne były w ich ojczystym języku.

Kultura

W piśmie skierowanym do wiceministra kultury i sztuki Stefana Starczewskiego przedstawiciele Towarzystwa informują, że chcą zorganizować pięć regionalnych, 30 gminnych i około 100 miejskich i wiejskich ośrodków kultury.

Wnioskują o przyznanie prawa do systematycznego dostępu do środków masowego przekazu, zwłaszcza regionalnych. Proponują zorganizowanie lokalnego ośrodka telewizyjnego, który służyłby wszystkim grupom etnicznym Śląska Opolskiego. Zamierzają starać się również o wydanie własnej gazety.

Z zadowoleniem przyjmują informacje o możliwości udzielenia im pomocy finansowej dla wsparcia działalności kulturalnej Towarzystwa, ale jednocześnie nie chcą, by finansowanie ich doprowadziło do wywołania niezadowolenia innych grup w regionie.

Na żywo

We wtorkowy wieczór w Dzieszowicach, Towarzystwo zorganizowało otwarte spotkanie mniejszości z komisją. Przybyło około 500 osób. Rozpoczęto odśpiewaniem niemieckiego hymnu Śląska. Dzieci śpiewały niemieckie piosenki i mówiły wierszyki po niemiecku.

Później posłowie wysłuchali skarg i wypowiedzi z sali. Dialogu jednak nie udało się nawiązać, choć ustalono, że językiem obowiązkowym będzie polski. Niemcy mówili o wojennych obozach dla Niemców, o wymianie młodzieży, o oznaczaniu nazw miejscowości po polsku i niemiecku, o nauce języka.

Na koniec zapytali, na kogo mają głosować w wyborach prezydenckich — (...) żeby nas ktoś potem z siekierą nie wypędzał”.

„Nie chcę tu robić kampanii, ale powiem, że jako osoba prywatna będę głosował na Wałęsę” — odpowiedział poseł Wuttke.

Polityka bez debaty

Postulaty Niemców Rzeczypospolitej Polskiej.

„My, Niemcy, na obszarach na wschód od Odry i Nysy (...) w szczególności postulujemy:

1. uznanie i gwarancje statutu grupowego dla niemieckiej grupy narodowościowej;

8. prawo do tworzenia własnych partii lub odpowiedniego udziału w już istniejących;

9. zapewnienie reprezentacji w parlamencie i innych organizacjach przedstawicielskich (...);

14. niestawianie przeszkód dla współpracy pomiędzy organizacjami Niemców w Rzeczypospolitej Polskiej i organizacjami wypędzonych i przesiedlonych w RFN;

16. zachowanie istniejącego niemieckiego obywatelstwa (...).”

„Dostałem to pismo w przeddzień przyjazdu do Opola — wyjaśnia poseł Wuttke — nie mieliśmy czasu, aby się nad nim zastanowić i dlatego nie chcieliśmy dzisiaj o nim mówić. Można to było potraktować na dwa sposoby: albo poważnie — dyskusja merytoryczna i konsultacja z MSZ, albo przedwczesne i nie przemyślane. Nie wiadomo, kto jest adresatem tego pisma — rząd polski czy niemiecki”.

„Stworzyliśmy te postulaty podczas październikowego pobytu w RFN i wysłaliśmy je do władz niemieckich” — powiedział pan Stanek.

Część z postulatów jest sprzeczna z założeniami polityki polskiej, odrzucającej specjalne uprawnienia dla grupy mniejszości narodowych oraz wyznaczającej lojalność wszystkich obywateli wobec obowiązujących praw. Przykładowy problem stanowi stawiennictwo do wojska.

W tym roku z Opolszczyzny wyjechało 1500 osób, aby w ten sposób uchylić się od służby. Niemcy nie chcą służyć w polskim wojsku.

Rząd nie chce się zgodzić również na posiadanie podwójnego obywatelstwa i zaprzecza możliwości członkostwa w partiach niemieckich, w wyborach do *Bundestagu* i członkostwa w Związku Wypędzonych. „Nigdy nie byli wypędzeni i nikt ich nie wypędzał” — powiedział wojewoda opolski.

Kim jesteście?

„Przyjechalіśmy do obywateli opolskich niemieckiego pochodzenia, aby zadbać o ich słuszne prawa — zwrócił się do zebranych przedstawicielei rządu i towarzystwa poseł Włodzimierz Mokry — ale widzę, że niektórzy z was czują się członkami państwa niemieckiego”.

Na pytanie o stosunek do rządu polskiego, Blasius Hańczuk, reprezentujący Towarzystwo z Katowic, odpowiedział, że czują się osieroceni. Dlatego najpierw zwrócili się do rządu niemieckiego, a później do polskiego.

„Przez 45 lat nie mogliśmy mówić tutaj, że jesteśmy Niemcami. A teraz też nikt z kandydatów na prezydenta nie wspominał o nas” — stwierdził.

Dlaczego?

„Jest to wina komisji, że nie czują się obywatelami polskimi — powiedział „Gazecie” poseł Mokry. — Do tej pory nie tylko nie ma ustawy, żadnego konkretnego aktu prawnego dotyczącego mniejszości, ale sama komisja jest podzielona, co do celowości tworzenia takiej ustawy. Moim zdaniem zlikwidowałaby ona wiele problemów i należało stworzyć ją przed spotkaniem Kohl-Mazowiecki”.

Efekty wizyty

„Komisja jeszcze raz musi zbadać sprawę nauczania niemieckiego. Poza tym potrzebna będzie korekta finansowania kultury mniejszości” — podsumował poseł Wuttke.

„My jesteśmy zadowoleni ze spotkania — powiedział „Gazecie” Johann Kroll.

ZJEDNOCZENIE NIEMIEC W ZABELKOWIE *

W dniu zjednoczenia Niemiec w Zabelkowie k. Raciborza na Dolnym ** Śląsku, załopotała niemiecka flaga. Miesiąc później do proboszcza przysłała delegacja mieszkańców. „Chcemy w kościele modlić się po niemiecku” — powiedzieli. Ksiądz obiecał, że mszę odprawi. Niemiecki już trochę znał, a oryginalne modlitewniki sprowadzili wierni. Ksiądz mówił, że Bóg zna wszystkie języki i jest mu to obojętne, w jakim się ludzie do niego modlą. Najważniejsze, że ludzie w ogóle chcą to robić.

W niedzielę odprawili uroczystą mszę. Zjechało wielu wiernych z okolic i z granicy. Grała orkiestra, powiewały sztandary, huczał religijny śpiew. Nabożeństwo trwało długo, bo okazja nadzwyczajna i kłopoty z nowym ojczystym językiem.

Kto potrafił, rozmawiał po niemiecku i nawiązywał nowe znajomości. Starzy ludzie wspominali dawne czasy. O problemach życia codziennego dyskutowali młodzi — po polsku.

Rodzice narzekali, że dzieci są bardzo spolszczone, że nie uczą się języka, nie kultywują tradycji.

Młodzież się broniła: „Teraz tutaj żyjemy. Inna sytuacja. A w ogóle to problemów jest tyle, że na naukę to i tak czasu już nie ma”. Niech się uczą najmłodszy. Wnuki właśnie rozpoczęły naukę niemieckiego w szkole.

Entuzjazm był ogromny. Pierwszaki uczyły się pilnie, a po zajęciach w szkole brały dodatkowe lekcje u babci i dziadka. Wszystko układało się dobrze do czasu, kiedy pani w szkole zaczęła pytać i stawiać stopnie. Posypały się dwójki i pretensje rodziców.

„Zła nauczycielka. Nas nikt poprawiać nie będzie” — mówili. „Tyle lekcji, że nie wiadomo od czego zacząć i jeszcze ten niemiecki” — skarżyły się dzieci.

Wieś jest mała. Daleko od głównych dróg i kolei. Kilkanaście domów, kiosk, sklep, kościół, knajpa, szkoła i dwa cmentarze.

Rano, kiedy kobiety przygotowują dzieci do szkoły, mężczyźni już pracują. Większość uprawia ziemię. Pola są małe, więc i zyski niewielkie. Na życie nie starcza, a na głowie rodzina, domek, samochód. Trzeba dorobić w fabryce lub w kopalni. Z dojazdem trudno, ale nie narzekają. W mieście, w bloku nikt nie chce mieszkać.

Tylko młodzi uciekają. Starsi jadą do miasta z niechęcią i dopiero wtedy, kiedy rzeczywiście muszą. Odświętnie ubrani wsiadają do czystych wartburgów i maluchów. Zakupy robią w Raciborzu albo w Wodzisławiu.

Pani Danka ze sklepu nie ukrywa zdenerwowania „Poculi siłę i jak grzybów po deszczu się ich namnożyło. Moi rodzice też. Jak tutaj nazwiska zbierali na listę narodowościową, to i mnie wpisali. Jesteś naszą córką. Pochodzenie masz. Na pewno nie zaszkodzi, a tylko przydać się może”.

Przed wojną, kiedy granica biegła jeszcze wzdłuż Olzy, podstawówka w Zabelkowie była szkołą polską. Mówi o tym tablica przykręcona na frontowej ścianie budynku. Wtedy to Polacy byli narodową mniejszością.

Dyrektorka szkoły nie dzieli uczniów na polskich i niemieckich. Najważniejsze są postępy w nauce.

„Przez czterdzieści lat ich nie było. Niemcy się zjednoczyły, to kapoty pozmiękniali. Wszyscy się niemieckiego uczą. Poprosili o salę w szkole, żeby kurs języ-

* „Gazeta Wyborcza” z 18 XII 1990.

** Na Górnym Śląsku — przyp. red.

kowy dla dorosłych zorganizować. Zgodziłam się, ale sprzątaczkę narzekały, że po zajęciach krzesłek na ławki nie zakładają, że tablica brudna i niedopałki na podłodze. Zrobiłam awanturę i zagroziłam, że cofnę pozwolenie. Jak są narodem takim czystym i gospodarnym, to niech kulturę pokażą. Od tej pory mam spokój. Po zajęciach wysprzątane, aż patrzeć miło”.

Na przystanku autobusowym ktoś napisał: POLSCY NIEMCY RAUS! Starszy pan krzyczy:

„Chamstwo. Tutaj nikt nigdy Polakom tak nie napisał. Tutaj zawsze byli Niemcy. Dopiero od wojny jest rząd polski. Na Olzie była granica. Do dzisiaj stoją betonowe słupy, była na nich litera D. Przyszli »zza wody«, dodali laseczkę na dole i jest P. Jest, ale Polaków tu mało”.

Nie są Ślązakami. Nie są mniejszością, a polskiego uczyli się pod przymusem. Kto nie chciał, tego UB do Raciborza brało i tak długo bito, aż się nauczył. Nikt nie chciał ryzykować, bo w domu czekała rodzina.

Nie chcą żadnych przywilejów. „Przed wojną mieli Polacy swoją mszę i szkołę. Chcemy się tylko spotykać i śpiewać w chórze. Premier nam pomógł. Teraz w Polsce wiedzą, że w ogóle jesteśmy. Za komunistów tak nie było. Władza mówiła, że Niemców już tutaj nie ma. Jesteśmy twardzi i niewielu stąd wyjechało. Tutaj się urodziłem i umrę. Jak będzie święto narodowe, to i tak naszą flagę wywieszę”.

Jarosław Sroka

PELZAJĄCA ANEKSJA — GÓRNY ŚLĄSK JEST BARDZIEJ NIEMIECKI NIŻ POZWALA NA TO POLITYKA (DER SCHLEICHENDE ANSCHLUSS — OBERSCHLESISIEN IST DEUTSCHER ALS DIE POLITIK ERLAUBT) *

Nie może być odrodzenia niemieczyny bez przyznania się do niemieckości.

„U piekarza i rzeźnika »Dzień dobry, pięknie dziękuję i do widzenia mówię teraz zawsze po niemiecku. To skutkuje, ludzie ostatnio nawet odpowiadają po niemiecku”. Rosel Urban spodziewa się, że teraz, kiedy nikt już za to nie będzie karany, wszyscy Niemcy na Górnym Śląsku będą tak odważnie postępowali, jak ona. „Zobaczycie, w przyszłym roku wszyscy będziemy na ulicy mówili znowu po niemiecku”.

„Zgadza się, Polacy mają na Górnym Śląsku wszędzie słyszeć Niemców”, mówi Georg Smuda, dawny naczelnik Nakła, a czterej inni z zarządu Niemieckiego Koła Przyjaźni (*Deutsche Freundschaftskreis — DFK*) milcząco potakują.

„Niedawno, kiedy mówiłem na ulicy po niemiecku, podeszła do mnie jakaś Polka i powiedziała: »Tutaj jesteśmy w Polsce, niechże pani mówi po polsku«. To ja na to powiedziałam: »Tutaj się urodziłam. Mówię po niemiecku»”.

Kiedy Rosel Urban przyszła na świat, górnośląski kawałek ziemi pod nazwą Nakel, należał do Niemiec. Od 45 lat miejscowość nazywa się Nakło i leży w Polsce, jednak Rosel Urban upiera się przy tym, że nadal ma „niemieckie usposobienie”. W kuchni wiszą obok siebie zdjęcia dziadka i syna (w mundurze zachodnio-

* Tłumaczenie ze skrótem. Biuletyn PAP. Republika Federalna Niemiec nr 37 (1340) z 20 X 1990 za „Die Zeit” nr 41 z 5 X 1990.

niemieckiej straży granicznej). A na pierwszym piętrze ścianę zdobi na czarno-czerwono-złotym tle wycięty z dziennika „Bild” tytuł: „Boże błogosław naszej ojczyźnie”.

W wielkiej polityce, w *Bundestagu*, w Izbie Ludowej, w Sejmie mówi się uroczyście o pojednaniu i granicy, która ma przebiegać gdzieś tam, dość daleko na zachód od Nakła, ale tutaj, na Górnym Śląsku, życie toczy się całkiem inaczej. W Nakle, mówi dawny naczelnik, ma teraz „wszystko znowu być jak się należy, tak jak za niemieckich czasów”.

Od czerwca, od pierwszych w powojennej Polsce wolnych wyborów komunalnych, nie ma komunistów i są tu znowu „miejscowi”. Niemiecka mniejszość narodowa, która może istnieć dopiero od kilku miesięcy, stała się nagle większością wszędzie tam, gdzie 45 lat temu źle wykonano dzieło wypędzenia — we wsiach wokół Opola i Góry Św. Anny, tego wzgórza wznoszącego się ponad spłaszczonym Górnym Śląskiem, o które niemiecko-polski spór narodowościowy toczący się w 1921 r. na Górnym Śląsku przekształcił w pole bitwy. W Nakle 22 na 24 członków rady gminnej wybrano z grona niemieckiej mniejszości. Od czasu utworzenia wiosną Niemieckiego Koła Przyjaźni zarejestrowało się w nim 1056 członków, ponad 95 procent miejscowej ludności. Decyzji zarządu Koła Przyjaźni nikt nie może tak łatwo zignorować...

W Nakle jest jak w Raschau, w Raschau jak w Probsfelde, w Probsfelde jak w Strahlheim i Muldenau, jak w Reichenhoe i Quellengrund — nazwy, których nie ma przy wjeździe do miejscowości i na mapie dróg, nazwy, których chyba nikt w Polsce nie zna. A jednak od czasu przepędzenia komunistów prawie wszyscy ludzie w tych wsiach oświadczyli, że są Niemcami, bądź pochodzenia niemieckiego. DFK przypuszcza, że w regionie Opola jedna czwarta ludności należy do niemieckiej mniejszości narodowej, na całym Śląsku w sumie 800 tys. ludzi. Nikt nie wie, czy te liczby nie są zawyżone.

Od 3 stycznia 1990 r., kiedy wyrażono zgodę na założenie pierwszego Koła Przyjaźni w Katowicach, powstały one wszędzie na Górnym Śląsku, a sporadycznie również na Dolnym Śląsku, Pomorzu, w Gdańsku i w Prusach Wschodnich, dotychczas w sumie 400. W ciągu ośmiu tygodni, po objęciu rządu przez Tadeusza Mazowieckiego, ponad 300 tys. ludzi wpisało się na „listę ludności pochodzenia niemieckiego” „świadomie i bez przymusu”, jak stwierdza się w nagłówku listy. Potem listy zostały wycofane z obiegu. Wydawało się bowiem obecnie sprawą dowiedzioną, że niemiecka mniejszość narodowa w Polsce nie jest tylko „wymysłem rewanżystów”, jak twierdziły polskie dzienniki. Prasa odpowiedziała na to twierdzeniem, że większość z tych, którzy się zarejestrowali, to „Niemcy Volkswagenowi”. Ludzie, którzy chcieli być raczej bogatymi i Niemcami niż biednymi i Polakami.

Od czasów wyborów komunalnych załamała się również ta argumentacja. Jakich bowiem korzyści gospodarczych mieli spodziewać się wyborcy po tym, kiedy na Górnym Śląsku wybrali całe dwa tuziny burmistrzów pochodzenia niemieckiego, a niemieckiej mniejszości narodowej zapewnili większość w różnych parlamentach gminnych? Dla Johanna Krolla, starego, nieco już przygarbionego założyciela Koła Przyjaźni — nazwano go już „Lechem Wałęsą Górnego Śląska” — jest to przełom: „Teraz każdy musi wreszcie zrozumieć: my istniejemy, jesteśmy tutaj, byliśmy zawsze tutaj, pozostaniemy tutaj i oni nie mogą nadal prowadzić polityki nie pytając o nasze zdanie”.

Nieprzyjemna to wiadomość dla rządzących w Bonn i w Warszawie: właśnie w tej chwili, kiedy Helmut Kohl wyobraża sobie, że ma za sobą męczący proces uznania granicy i chce bić w dzwon na rozpoczęcie epoki dobrego sąsiedztwa, grozi

rewolta krzepkich rencistów — ludzie, którzy pod koniec wojny nie uciekali, nie zostali przymusowo wypędzeni, nie dali się spolonizować ani wysiedlić, dochodzą swoich praw z narodowym patosem. Wraz z demokratyzacją w Polsce na Górnym Śląsku pojawił się znowu odwieczny spór narodowościowy. Ugodził on niespodziewanie w rządy obu krajów. Jeszcze we „Wspólnym oświadczeniu” Helmuta Kohla i Tadeusza Mazowieckiego, od którego minęło akurat jedenaście miesięcy, niemiecka mniejszość narodowa potraktowana została po macoszemu. Wysłuchana ona została jedynie przez ogłoszenie za zmarłe związki wypędzonych, które na Górnym Śląsku otworzyły sobie nowe zaplecze.

W wiosce Zawada, która dawniej nazywała się Bachweiler, położonej na północny zachód od Gliwic, w jednym z domów koło Przyjaźni urządziło „Ośrodek niemieckich spotkań”, w stylu ulubionym przez 15 tys. członków DFK z Gliwic: na ścianach czarno-czerwono-złote draperie, pobudzające do czynu teksty obfitujące w takie słowa, jak „kraj rodzinny”, „ojczyzna”, „Śląsk”, „Niemcy”, mapa z Niemcami w granicach z 1937 r. własnoręcznie sygnowana przez Herberta Hupkę, siwiuteńskiego archanioła wypędzonych ze Śląska. Na dachu obowiązkowa antena satelitarna, programy polskiej telewizji nie są w ogóle włączane. Obok telewizora aparat wideo, aby „również młodzież została związana z niemieckością”. Dom jest stale przepełniony.

Kiedy zarządy DFK z całej Polski spotkały się tutaj w połowie września, na porządku dnia znalazły się sprawy o ładunku wybuchowym: grupy podstawowe, działające akurat pół roku, chcą wybrać polityczne kierownictwo. „Rada Niemców”, „Wszeczwiązkowa Rada”, ma w listopadzie, „kiedy kanclerz po zjednoczeniu będzie miał znowu więcej czasu”, udać się do Bonn. Dopiero potem w programie znalazła się podróż „do Polski”, jak powiedziano na spotkaniu. Chce się wywrzeć wpływ na Sejm, który nie uchwalił jeszcze od dawna zapowiadanej ustawy o mniejszościach narodowych. Dla nowego niemiecko-polskiego układu, który Helmut Kohl chce wynegocjować natychmiast po zjednoczeniu, sporządzono już katalog żądań niemieckiej mniejszości narodowej. Materiał wybuchowy dla rządzących: nauka języka niemieckiego we wszystkich szkołach na Górnym Śląsku, niemieckie szkoły, ośrodki kultury, biblioteki, żłobki, zachodnoniemieckie podręczniki i nauczyciele niemieckiego, regionalna pomoc gospodarcza dla Śląska, prawa autonomii i podwójne obywatelstwo. Poza tym, stwierdza dwuznacznie Johann Kroll, „trzeba przecież wreszcie powiedzieć o tym, że tę granicę uważamy za niepotrzebną”.

Gdyby przedstawiciele niemieckiej mniejszości narodowej włączyli w sali posiedzeń połączony z anteną satelitarną telewizor, akurat tego wieczoru na ekranie pojawiłby się federalny minister spraw zagranicznych i mówiłby o „ostatecznym charakterze polskiej granicy zachodniej”. Ale Hansa-Dietricha Genschera uważa się tutaj i tak za „zdrajcę”. Jest on „człowiekiem, który nas sprzedał”.

Tysiąc kilometrów na wschód od Bonn mieści się największe w życiu kłamstwo chrześcijańsko demokratyczne polityki wschodniej: wmawianie przez dziesięciolecia sobie samym i innym, że Niemcy istnieją w granicach z 1937 r. Wśród starszych zwłaszcza Górnoszlązaków zachowała się podsycana bońskimi hasłami przetrzymywania nadzieja, że oni „przecież nie będą wiecznie pozostawać pod rządami Polaków”, nie muszą emigrować, żeby przybyć do Niemiec; tam, gdzie znajdują się, będą przecież kiedyś znowu Niemcy.

Na przykład Friedrich Schikora, założyciel Niemieckiego Koła Przyjaźni w Gliwicach, chudy i wysoki mężczyzna, który ze swoim pofałdowanym czołem wygląda jak brat Hansa Modrowa, całkiem niedawno Sikora — w Gliwicach zarejestrował jako niemiecką mniejszość narodową 34 200 osób. Następnie pojechał do Bawarii do ośrodka szkolenia w Weikersheim, żeby mu wyjaśniono, czy „istnieje jeszcze

nadzieja dla Górnego Śląska". Potem mógł poinformować Niemieckie Koło Przyjaźni: „Byli tam prawdziwi znawcy prawa, profesorowie prawa, wszyscy zaproszeni przez Związek Wypędzonych. I wszyscy powiedzieli, to jest wyraźnie sprzeczne z prawem międzynarodowym, ta aneksja przez Polskę”.

5 sierpnia Schikora znowu na przyjacielskie zaproszenie Związku Wypędzonych przebywał w Republice Federalnej. Tym razem po to, żeby w kasynie w Bad Cannstatt obchodzić uroczystości czterdziestolecia „Karty Wypędzonych z Ojczyzny”. Kiedy podczas przemówienia kanclerz federalny uznał polską granicę zachodnią, z tyłu członkowie Związku Wypędzonych gwizdali, krzyczeli i tupali nogami, natomiast Friedrich Schikora zachował się całkiem spokojnie. Była to, mówi Schikora, „najsmutniejsza chwila w moim życiu”.

Świat się zawalił: „Przez 45 lat stale nam mówiono: wytrwajcie, wytrzymajcie, nie odchodźcie, nie emigrujcie, Ustawa Zasadnicza, roszczenia prawne nadal obowiązują, w przeciwnym razie obszary te przypadną. A teraz my jesteśmy tymi, którzy przegrali. Teraz mści się nasza naiwność. A my wciąż wierzyliśmy, ponieważ to byli Niemcy, którzy nas o tym zapewniali”. Od tego czasu Schikora uważa sprawę za załatwioną: pozostali w kraju rodzinnym na Górnym Śląsku przez 45 lat byli kozłami ofiarnymi, Niemcami do bicia, musieli zastępczo za cały naród odpokutować z powodu wojny, a teraz muszą znowu być ukarani, tym razem z powodu jedności Niemiec.

Wielu w Kole Przyjaźni, którzy nie zobaczyli we własnej osobie, tak jak Schikora kanclerza federalnego i nie usłyszeli na własne uszy jak uznał granicę, również teraz jeszcze nie traci nadziei. „Ci w Bonn nie sprzedali nas, oni nas tylko oddali w dzierżawę”, mówi Georg Smuda z Nakła. „Kohl chce najpierw zjednoczenia, a potem przyjdzie po nas”. A ostateczne uznanie granicy? „Jakie uznanie granicy było kiedykolwiek ostateczne! Kto w ogóle pomyślałby rok temu, że Lipsk będzie znowu należał do Niemiec...”

Od czasu pojawienia się niemieckiej mniejszości narodowej wielu Polaków czuje się zagrożonych w swoim samookreśleniu. Muszą się oni dopiero nauczyć uznawania tego, że wewnątrz Polski Niemcy są ich sąsiadami i po 45-letniej przymusowej polonizacji zażądali głośno i z przesadnie narodowym akcentem praw mniejszości narodowej. Minęło właśnie zaledwie czternaście miesięcy od czasu, kiedy warszawski tygodnik „Polityka” po raz pierwszy stwierdził: „Niemcy u nas — oni istnieją”. Do tej pory obowiązywała oficjalna wersja rządu: „Polska jest jednolitym narodowo państwem”. Litwini, Białorusini, Ukraińcy, Ormianie, Niemcy — nie istnieli, ponieważ nie mogli istnieć. Prasa polska nie mogła informować o tym, że od początku lat siedemdziesiątych blisko milion obywateli państwa polskiego zostało wysiedlonych i w Republice Federalnej uznano ich za Niemców...

Doktryna mówiąca, że Polska w 1945 r. odzyskała tylko „terytoria należące dawniej do Polski” przesądziła o tragicznym powojennym losie Górnoszlązaków. Uniknęli oni wypędzenia nie tylko dlatego, ponieważ potrzebna była siła robocza dla pobliskich kopalni węgla, ale również dlatego, że komunistyczne kierownictwo w Warszawie uważało ludność katolicką opolskiego Śląska za „nadającą się do repolonizacji”. Jak się teraz okazuje, był to fatalny błąd opierający się na założeniu, że Górnoszlązacy mówiący dwoma językami są Polakami, którzy przez wieki byli uciskani.

Thomas Kleine-Brokhoff

NIEBEZPIECZNY ZAKRĘT W STOSUNKACH POLSKO-NIEMIECKICH *

Niedawno jeszcze mogło się zdawać, że napięcia narodowościowe na Śląsku Opolskim ulegają złagodzeniu. Okazuje się jednak, że była to cisza przed burzą. Wysiłki emisariuszy Związku Wypędzonych (BdV) i Wspólnoty Roboczej ds. Ła- mania Praw Człowieka w Europie Wschodniej, czyt. w Polsce, (AGMO) nie poszły na marne. Wypowiedzi przedstawicieli mniejszości niemieckiej w Polsce dla prasy i telewizji niemieckiej są coraz bardziej agresywne i antypolskie. Błędem byłoby jednak obarczanie pełną odpowiedzialnością tę grupę ludności, która przez ponad cztery dziesięciolecia była traktowana w Polsce z pewną wrogością lub z lekceważeniem. Uzasadniona nieufność Niemców polskich do Polski jest podsycona przez działaczy ziomkowskich i wykorzystywana dla ich celów politycznych.

25 października, tuż przed pierwszą rundą rozmów polsko-niemieckich w spra- wach traktatu granicznego i umowy o wszechstronnej współpracy, Związek Wype- dzonych, korzystając z obecności w Bonn zaproszonej przez siebie już dawno dele- gacji Rady Naczelnej Stowarzyszeń Mniejszości Niemieckiej w RP, zorganizował konferencję prasową, podczas której ogłosił w imieniu mniejszości *Żądania Niem- ców w Rzeczypospolitej Polskiej*. Jest to dokument, który został opracowany przez BdV, a nie przez mniejszość w Polsce, która nieco wcześniej przygotowała zupeł- nie inny, wręczony następnie w ambasadzie niemieckiej w Warszawie ambasado- rowi Republiki Federalnej panu Knackstaedtowi oraz polskiemu wiceministrowi kultury, panu Starczewskiemu, odpowiedzialnemu za sprawy mniejszości narodo- wych w rządzie polskim. Postanowiono wspólnie, że dokument warszawski będzie jeszcze przez jakiś czas traktowany poufnie. O dokumencie warszawskim mówił sekretarz generalny Rady Niemców w Polsce, Dietmar Brehmer, w wywiadach dla stacji radiowych *Westdeutsche Rundfunk* i *Deutschlandfunk*. Całej sprawy nie można wyjaśnić inaczej, jak ogromnym wpływem Związku Wypędzonych na Niem- ców żyjących w Polsce. Wpływ ten sięga tak daleko, że większość Rady Niemców w Polsce gotowa była złamać słowo i wystawić się na pośmiewisko, aby tylko nie zawieść pana Koschyka i jego kompanów.

Analiza żądań mniejszości pod adresem rządu polskiego może prowadzić do wniosku, że grupa ta zdecydowała się na całkowite wypowiedzenie lojalności Pol- sce. Rada Naczelna uważa, że głównym jej zadaniem jest obecnie wywalczenie pełnych praw człowieka i praw grupowych dla Niemców poprzez przygotowany układ niemiecko-polski. Wynika z tego, że Niemcy dążą do uzyskania większych praw, niż posiadają inni obywatele państwa polskiego. To zresztą tylko wstęp. Niemal każdy z szesnastu punktów dokumentu stanowi prowokację pod adresem strony polskiej. Niemcy według tego opracowania żądają m.in. przyznania im gwa- rancji praw kolektywnych i własnej konstytucji (*eigene Staatsgrundrechte*), która — można się domyślać — byłaby różna od konstytucji polskiej. Następnie doma- gają się prawa do ojczyzny nie tylko dla jednostki, lecz także dla grupy. Oznacza to ni mniej, ni więcej, tylko żądanie wyłączenia zamieszkałych przez nich tere- nów spod suwerenności państwa polskiego. Domagają się samorządu w zakresie kultury, języka i religii. Jeśli o Kościół idzie, to praktycznie oznacza to, że bisku- pom Nossolowi i Zimoniowi odmawiają oni *auctoritatis territorialis*. Raz już ziom- kowie z Niemiec przywieźli do Lubowic „własnych księży” na uroczystość z udziałem szefów BdV. Żądanie to stanowi próbę zniszczenia ostatniego na Śląsku auto- rytetu, integrującego niemal wszystkich mieszkańców, jakim jest Kościół katolicki.

* „Kultura” (Paryż), nr 12/1990.

Ponadto Niemcy w Polsce żądają samorządności gospodarczej, społecznej i fiskalnej, co sprowadza się m.in. do niepłacenia podatków państwu polskiemu. Następnym punktem zawiera żądanie zakazu asymilacji, i to nie tylko przymusowej, jakiej Niemcy zostali poddani w okresie stalinowskim, lecz także poprzez poczynania o charakterze gospodarczym, kulturalnym, administracyjnym, społecznym i jakimkolwiek innym. Można to zrozumieć tylko jako żądanie pełnej izolacji — polskie przedsiębiorstwa, teatry, szkoły i urzędy na terenach zamieszkałych przez mniejszość musiałyby zostać zamknięte i zakazane. Mniejszość domaga się także prawa tworzenia własnych partii albo „stosownego udziału w istniejących partiach”. Domaga się więc parytetu we władzach partii politycznych w Polsce (!).

Są także punkty, które nie budzą wątpliwości, ponieważ spełnienie zawartych w nich żądań zgodne jest z prawem międzynarodowym. Przedstawiciele mniejszości istotnie powinni mieć dostęp do wszelkich urzędów państwowych, powinni także mieć swoich przedstawicieli w parlamencie. Wolno im także brać udział w zwalczaniu zanieczyszczenia środowiska naturalnego, co proponują w bońskim dokumencie. Nie mogą być naturalnie wyłączeni z planowanej polsko-niemieckiej współpracy regionalnej.

Inne żądania jednak są wyjątkowo wyzywające. Otóż Związek Wypędzonych, pewny swojego wpływu na większość działaczy mniejszości, żąda przez ogłoszony w jej imieniu dokument usunięcia wszelkich przeszkód (*keine Behinderung*) we współpracy organizacji niemieckich w Polsce z organizacjami wypędzonych. Biorąc pod uwagę to, co działacze *BdV* robią na Śląsku Opolskim, biorąc pod uwagę podsycanie przez nich napięć narodowościowych, umacnianie nienawiści do Polski i Polaków, wmawianie Niemcom opolskim, że uznanie granicy na Odrze i Nysie stanowi zdradę ich interesów przez rząd kanclerza Kohla i wicekanclerza Genschera, jest to żądanie wpuszczenia podpalaczy do domu.

Także ostatni punkt postulatów, domagający się wykonywania obowiązku ochrony członków mniejszości niemieckiej w Polsce przez rząd Republiki Federalnej, stanowi jawne wypowiedzenie posłuszeństwa rządowi polskiemu. Państwo niemieckie odpowiedzialne jest za Polaków żyjących w Niemczech. Niemcy w Polsce żądają, by rozszerzyło tę odpowiedzialność na obywateli polskich narodowości niemieckiej, co stanowi zamach na suwerenność Polski.

Cała ta sprawa jest jedną wielką prowokacją i to nie tylko pod adresem rządu polskiego, lecz także niemieckiego. Skoro bowiem kanclerz Kohl przekazał premierowi Mazowieckiemu znak pokoju w Krzyżowej, skoro uznana zostaje granica pomiędzy obydwoimi państwami skoro przygotowywany jest układ o wszechstronnej współpracy, to wypowiedzenie przez Niemców żyjących w Polsce lojalności wobec państwa polskiego i domaganie się przez nich faktycznego wyłączenia zamieszkałych przez nich terenów spod suwerenności państwa polskiego godzi dotkliwie w interesy obydwu państw i narodów.

W wywiadzie dla radia *Deutsche Welle* jeden z bardziej „nieugiętych” w Radzie Niemców w Polsce, Fryderyk Sikora, poczuł się zobligowany do zaprzeczenia, jakoby mniejszość domagała się autonomii. Klóci się to z niemal wszystkimi punktami dokumentu ogłoszonego w imieniu Rady w Bonn. Jej sekretarz generalny, Dietmar Brehmer, wielokrotnie podkreślał, że mniejszość niemiecka w Polsce chce włączyć się do odbudowy Polski na zasadzie lojalnych obywateli państwa polskiego. Korzystając jednak z niedoświadczenia politycznego znacznej części Rady oraz mniejszości w Polsce, Związek Wypędzonych manipuluje nią, wciąga ją w niewyraźne układy będąc praktycznie jedyną organizacją polityczną w Niemczech, która w ogóle interesuje się mniejszością i posiadając przy tym środki finansowe, przyznawane corocznie przez rząd federalny. Związek Wypędzonych perfidnie

wykorzystuje zrozumiałe urazy Niemców żyjących w Polsce, pchając ich w stronę konfrontacji.

Sytuacja jest niebezpieczna i może doprowadzić do destabilizacji nie tylko na Opolszczyźnie, lecz w stosunkach polsko-niemieckich w ogóle. W ostatnim numerze pisma „Deutscher Ostdienst”, wyrażającego opinie *BdV*, sekretarz stanu w federalnym Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, Franz Kroppenstedt, powiedział, że Związek Wypędzonych realizuje linię rządu federalnego w stosunku do mniejszości niemieckiej w Polsce. Komu więc wierzyć: kanclerzowi, czy jego urzędnikom?

O ile zamiary pojednania między Niemcami i Polakami oraz wypowiedziane wielokrotnie przez kanclerza Kohla i innych polityków niemieckich słowa o ukształtowaniu przyjaznych stosunków między obydwooma państwami mają być traktowane poważnie, to konieczne jest usunięcie czynników zakłócających, Związek Wypędzonych, którego sekretarz generalny, Koschyk, powiedział, że nie pogodził się z uznaniem granicy i aż do czasu ratyfikacji traktatu granicznego będzie dążył do przekształcenia Górnego Śląska w region eksterytorialny pod kontrolą europejską, przeszedł do ofensywy, godząc się, a może nawet zakładając doprowadzenie do wybuchu niepokoju na Opolszczyźnie i zgłaszając prowokacyjne żądania pod adresem Polski. Publikowane w gazetach, w radiu i telewizji niemieckie materiały na temat rosnących nastrojów nacjonalistycznych i antypolskich, a po części nazistowskich wśród Niemców w Polsce świadczą o powodzeniu szeptanej polityki *BdV*, połączonej z pompowaniem bońskich pieniędzy na działalność mniejszości. Dokument ogłoszony w Bonn stanowi kolejny etap ataku. Pozostało niewiele czasu do zawarcia układu, więc *BdV* gotowy jest zaostriżyć sytuację aż do punktu, w którym normalizujące się stosunki polsko-niemieckie staną się niemożliwe do utrzymania.

W związku z tym, że działalność Związku Wypędzonych jest skierowana przeciw integralności terytorialnej Polski, a równocześnie zagraża stosunkom zagranicznym Republiki Federalnej, spełnia ona wszelkie kryteria niezgodności konstytucyjnej w obydwu krajach. Czas, żeby rządy i parlamenty obydwu krajów przestały chować głowę w piasek i wyciągnęły z tego odpowiednie wnioski, podejmując konieczne środki prawne.

P.S. Jak dowiedziałem się już po napisaniu tego artykułu, w niedzielę 4 listopada 1990 r. na posiedzeniu we Wrocławiu, naprędce zwołanym wypróbowaną stalinowską metodą pod nieobecność przewodniczącego, Dietmara Brehmera, Rada Niemców w Polsce pozbawiła go funkcji. Interesy bońskiego Związku Wypędzonych przeważały nad zdrowym rozsądkiem i politycznym instynktem samozachowawczym.

Stanisław Bieniasz

JESTEM ŚLĄZAKIEM I NIEMCEM

(Z Janem Krollem, liderem Stowarzyszenia Mniejszości Niemieckiej na Śląsku Opolskim rozmawia Włodzimierz Kalicki *)

- Kim pan jest?
- Ślązakiem, obywatelem polskim narodowości niemieckiej.
- To znaczy kim: Ślązakiem czy Niemcem?
- Ślązakiem i Niemcem. Tu nie ma żadnej sprzeczności. Gdyby zapytał pan

* „Res Publica” nr 6/1990.

Bawarczyka, kim jest, odpowiedziałby, że jest Bawarczykiem. A gdyby się pan zapytał, czy nie jest Niemcem, to by się zdziwił: „Tak, jestem Niemcem”. Podobnie jest ze mną i wszystkimi właściwie członkami naszego Stowarzyszenia: nasz *Heimat*, mała ojczyzna, to Śląsk. Nasz *Vaterland* to Niemcy.

Po przejściu na emeryturę przeschukałem akta parafialne w mojej rodzinnej wsi Rozkochowie. Najstarszy wpis dotyczący mojego przodka informuje o ślubie Matthaeusa Krolla, urodzonego dokładnie w 1700 r. w tym samym Rozkochowie z Katheriną Sigfanz. Od tego czasu kolejni Krollowie, pokolenie po pokoleniu, dziedziczyli tę samą mniej więcej ziemię. Tu był taki zwyczaj, że ojciec nie dzielił gospodarstwa między synów; brał je w całości najstarszy, reszta musiała iść w świat i dorabiać się. Rozkochów został założony na prawie niemieckim przed sześćdziesiąt laty i tylko brak wcześniejszych wpisów uniemożliwił mi zidentyfikowanie starszych przodków. Jestem przekonany, że tę samą ziemię, którą orał mój ojciec, oni orali przed ponad trzystu, może czterystu laty. Gdy więc mówię, że to moja ojczyzna i że tu są moje korzenie, to nie jest to puste gadanie.

A z drugiej strony i ja, i moi rodzice, i dziadowie, my wszyscy byliśmy Niemcami. W domu mówiło się po niemiecku, czytało się niemieckie książki. Byliśmy obywatelami państwa niemieckiego, służyliśmy w niemieckiej armii i uważaliśmy to za rzecz oczywistą. Nikt z nas, o ile wiem, nie marzył skrycie, żeby służyć w armii polskiej.

Ja sam byłem w *Wehrmachcie*, walczyłem na froncie wschodnim, tam zostałem ranny, co skończyło się postępującym inwalidztwem. Gdy zaczęli się tu zbliżać Rosjanie, to ja wcale nie czułem, że mam być wyzwalany. Przeciwnie, przed frontem uciekłem aż na tereny dzisiejszej Czechosłowacji. To nie była dezercja, wcześniej zwolniono mnie z wojska jako inwalidę.

Po zakończeniu wojny też nie poczułem się Polakiem. Miałem maturę zrobioną przed wojną w niemieckim, rzecz jasna, gimnazjum w Nysie. Chciałem studiować, ale nawet do głowy mi nie przyszło, że mógłbym studiować w polskiej szkole wyższej. Jesienią 1945 r. wysłałem do Monachium list z pytaniem, czy mógłbym studiować tam rolnictwo. Dowiedziałem się, że byłoby to możliwe, ale ktoś musiałby płacić za moje studia. No i tak skończyło się marzenie o studiach. O polskiej uczelni, na przykład we Wrocławiu, nie mogło być mowy. Ja po prostu ledwo mówiłem po polsku. W 1948 r. ożeniłem się i zostałem rolnikiem we wsi żony, Obrowcu.

— Dlaczego pan i pańska rodzina pozostaliście na Śląsku w 1945 r.?

— A dlaczego mielibyśmy stąd wyjeżdżać? Wielu uciekło przed frontem, uciekały całe rodziny, ale potem, po paru tygodniach, prawie wszyscy wracali. Tu był nasz dom. Uważaliśmy, że wszystko będzie tak, jak po pierwszej wojnie. To znaczy, że skoro tę wojnę Niemcy też przegrały, to było jasne, że będą przez zwycięzców okupowane. No, ale potem — myśleliśmy sobie — powstanie nowy niemiecki rząd, może zapłacona zostanie jakaś kontrybucja czy coś takiego i wtedy okupanci wrócą do domu i znowu będziemy w Niemczech.

— Te ziemie zajęła przecież Polska, taka była decyzja czterech mocarstw. Jeszcze przed końcem wojny pojawiła się tu polska administracja. Te fakty nie mogły pozostawiać złudzeń...

— Tu ludzie Rosjanom i Polakom nie wierzyli. Wie pan, za Hitlera przeszliśmy dobrą szkołę w nabieraniu nas przez propagandę i wszyscyśmy byli bardzo nieufni. Coś tam władze takie czy siakie trąbiły, a myśmy sobie w głębi duszy mówili, że to propaganda, że jak to w przyszłości będzie naprawdę, to się jeszcze zobaczy. Poza tym nam tu odebrano jeszcze w 1945 r. dokładnie wszystkie radioodbiorniki

i nikt właściwie nie wiedział, co się na świecie dzieje. Jeśli ktoś nawet schował aparat, to i tak Zachodu nie mógł ukradkiem słuchać, bo za Stalina było straszne donosicielstwo. Donosiciele stali pod oknami domów i nasłuchiwali, czy mąż z żoną w łóżku aby nie mówią po niemiecku, a co dopiero słuchają radia!

W tej sytuacji nikt nie wierzył oficjalnej propagandzie. Mówiło się, że trzeba cicho czekać, nie wychylać się, swoje przecierpieć, a potem się wyjaśni.

— Czy prześladowano was jako Niemców?

— Gdy wkroczyli tu Rosjanie to dla nich wszyscy tu mieszkający byli Niemcami. Za swoje cierpienia odgrywali się naprawdę okrutnie. Zabijali cywilów i jeńców w mundurach. W Gogolinie zamordowali 54 osoby, w Otmęcie 82. Front stanął wtedy na Odrze, ale Rosjanie po lodzie przedzierali się na drugi brzeg i czasami masakrowali przy tym ludność cywilną. Tak wymordowali blisko 300 mieszkańców Boguszyca. Uratowała się tylko jedna kobieta.

Gdy front ruszył dalej, to zabójstwa ustały, a zaczęły się wywózki na Wschód. Brali jak popadnie. Mojego ojca wywieźli za Ural, do Czelabińska, gdzie zmarł. Pojedyncze osoby ginęły zresztą i później. W Rozpłochowie dość długo stał silny garnizon i tam jeszcze po zakończeniu działań wojennych Rosjanie zastrzelili kilka osób. O gwałtach i rabunkach nawet nie chcę mówić, bo to była po prostu reguła.

Rabowali też i Polacy. W kilka dni po wkroczeniu Rosjan zjawili się uzbrojeni, po cywilnemu, ale z biało-czerwonymi opaskami na rękach. Wypędzili nas ze wsi. Gdy po trzech dobach wróciliśmy, zastaliśmy dosłownie gołe ściany i przekopany ogródek.

Po wojnie cierpieliśmy także wielki głód, no, ale to było zrozumiałe. Kraj był zniszczony, głodowali wszyscy, także i Polacy.

Potem w czasach stalinowskich, byliśmy prześladowani właściwie podwójnie: i jako podejrzani narodowościowo autochtoni, i jako kułacy. Tu zawsze było bardzo mocne rolnictwo, gospodarze rzadko mieli poniżej dziesięciu hektarów ziemi, często dwadzieścia, trzydzieści, pięćdziesiąt. *Bauer* na stu hektarach nie był rzadkością. Mój *teść* miał 35 hektarów. Właściwie wszyscy tu byli kułakami i represjonowano nas także z powodów ideologicznych, podobnie jak i polskich kułaków, w województwie poznańskim na przykład. To się ciągnęło bardzo długo. Jeszcze w latach sześćdziesiątych, kiedy dawno rozwiązały się wszystkie stalinowskie spółdzielnie, nie mogliśmy kupić żadnych nawozów sztucznych. Przez całe lata paszytowałem na ziemi wypielegnowanej przez mojego poprzednika, bo nie miałem czym jej nawozić.

Od pierwszych lat powojennych przymusowo nas polonizowano. W szkole dzieci musiały donosić, czy rodzice nie mówią w domu po niemiecku. Były wyśmiewane i bite, gdyż źle mówiły po polsku. Uczono je pogardy i nienawiści do Niemców jako takich, tak jakby wszyscy Niemcy byli hitlerowcami i zbrodniarzami. Wszystkim autochtonom przymusowo zmieniono imiona i nazwiska. Nazwiska spolonizowano, a jak które imię był typowo niemieckie, na przykład *Helmut* albo *Hildegarda*, to urzędnik wpisywał do dokumentów zupełnie inne. Nadawał imiona jak na jakimś chrzcie!

Od Gomułki nacisk polonizacyjny zelżał, można było między sobą mówić po niemiecku, ale w szkołach uczyć dzieci naszego języka nie wolno było nadal.

Zupełnie straszne rzeczy działy się z niemieckimi pamiątkami przeszłości. Cmentarze w miastach niszczone, zaorywano i zakładano na ich miejscu parki. Na nagrobkach niemieckich w najlepszym razie skuwano niemieckie nazwy — do dziś mnóstwo starych płyt cmentarnych nosi ślady dłuta. Ratowaliśmy się w ten sposób, że sentencje i napisy dawaliśmy po łacinie.

Przez wiele lat po wojnie autochtoni nie mieli normalnych dowodów osobistych, a tylko dowody tymczasowe, w których było napisane, że w każdej chwili mogą być odebrane.

— Skoro tak bardzo pan i pańscy koledzy ze Stowarzyszenia czuliście się Niemcami i skoro władze polskie uważały was za narodowościowo niepewnych, to jak udało się wam przebrnąć przez weryfikacje narodowościowe po wojnie?

— Tutaj nie było weryfikacji, w mojej wsi nikt nie był weryfikowany. Weryfikacje urządzano na terenach, na których kończyły się wsie, gdzie mówiono po polsku, a zaczynały się wsie, gdzie mówiono po niemiecku. W naszej wsi wszyscy dobrze mówili po polsku. Wcale zresztą nie dlatego, że czuwaliby się do polskości. Po prostu przed wojną bauerowie mieli duże gospodarstwa, a mechanizacji nie było wtedy żadnej. Z bardzo biednej Galicji co roku przyjeżdżali albo nawet przychodzili piechotą polscy parobkowie. Nierzadko szli rodzinami, zwłaszcza ci młodszy. Nie znali niemieckiego, więc tutejsi gospodarze musieli się nauczyć polskiego, żeby się z nimi porozumieć. No i uczyli się. Niech pan pamięta, że pracowało się tutaj w polu od świtu do zmierzchu. Gospodarz widział się z żoną tylko w czasie obiadu, z polskim robotnikiem przestawał codziennie po kilkanaście godzin. W ten sposób wszyscy tu nauczyli się mówić po polsku. Najlepiej mówili bogaci gospodarze, najgorzej ci biedni i ci synowie, którzy nie mieli objąć ojcowizny — im polski nie był potrzebny.

Zostawiono nas na tych terenach bez dodatkowych szykan, tyle tylko, że przez lata traktowano jak obywateli gorszej kategorii. Nie dostawaliśmy na przykład paszportów.

— Jeśli przez te 40 powojennych lat bez przerwy czuliście się Niemcami, to dlaczego nie staraliście się tego publicznie manifestować?

— Myśmy się po prostu okropnie bali. Ślązacy niemieckiego pochodzenia do dziś są bardzo przestraszeni. Niemiecka mentalność jest inna niż polska. Skoro władza mówiła, że Niemców nie ma, to nikt nie miał odwagi się sprzeciwić.

A poza wszystkim to swą niemieckość Ślązacy manifestowali. Kiedy Gomułka zezwolił na łączenie rodzin, to wyjechało stąd sporo ludzi. Za Gierka ruszyła następna fala, za „Solidarności” trzecia, no a po stanie wojennym to wyjazdy stały się prawie masowe. Wiele wsi po prostu opustoszało, puste i zamieszkane obejścia stoją na przemian. Ludzie budowali domy, dobre, luksusowe domy, wykańczali je, mieszkali jeszcze parę tygodni, miesięcy, a potem zostawiali je z całym dobytkiem ruchomym i jechali do RFN. Te wyjazdy to najlepsza manifestacja niemieckości.

— Raczej manifestacja zniechęcenia stanem polskiej gospodarki i brakiem perspektyw, zwłaszcza dla młodzieży.

— To nie takie proste. Jechali na Zachód także ludzie bogaci, ustabilizowani, wiedzieli, że tam zaczynać będą od zera, że w sensie socjalnym, towarzyskim startować będą od samego dna. Uważam, że prócz marzeń o wygodnym życiu ciągnęło ich tam coś jeszcze. Oni chcieli być wśród swoich.

— W Niemczech Zachodnich po kilku miesiącach Ślązacy trafiają do polskich parafii, znowu rozmawiają po polsku.

— To dotyczy przede wszystkim Polaków, którzy pod niemieckość się podszycy. Jeśli jednak na polskie msze przychodzą byli obywatele polscy, których także my tutaj uważamy za Niemców, to ja się nie dziwię. Tam życie repatrianta jest naprawdę ciężkie. Nielatwo przebić się w sensie zawodowym i trudno być zaakceptowanym towarzysko. Ludzie w stresie lubią spotykać się ze swoimi znajomymi, nawet porozmawiać po polsku. W końcu przeżyli w Polsce co najmniej połowę swego życia i z Polską łączy ich także wiele dobrych wspomnień.

— Pierwsze próby zarejestrowania organizacji mniejszości niemieckiej miały miejsce w 1984 r. Czy brał pan w nich udział?

— Całe życie zajmowałem się pracą w swoim gospodarstwie i prawdę mówiąc o upominaniu się o prawa mniejszości niemieckiej wcale nie myślałem. Kiedy inwalidztwo moje i żony zaczęło uniemożliwiać zajmowanie się naszymi 35 hektarami, w 1975 r. założyłem w Obrowcu pierwszą dobrowolną spółdzielnię produkcyjną. Wybudowaliśmy jako RSP dużą fermę kur niosek, osiągaliliśmy naprawdę duże zyski. W 1980 r. spółdzielnia zajęła pierwsze miejsce pośród rolniczych spółdzielni na Śląsku Opolskim. W 1981 r. przeszedłem na emeryturę, przeprowadziłem się z żoną do kupionego dwa lata wcześniej domku w Gogolinie i zająłem się łowieniem ryb. Tak sobie wypoczywałem, aż powstały Niemieckie Koła Przyjaźni (*Deutsche Freundschaftskreise*) w Gliwicach, w Raciborzu i tu na Opolszczyźnie, w Zdzeszowicach. Pierwsze było koło gliwickie i tam pojechałem po informacje. Byłem pełen uznania dla odwagi i zdecydowania dla działaczy, ale nie podobał mi się ich program, a dokładniej ta jego część, w której mowa była o ułatwieniu członkom wyjazdu do RFN. Uważałem wtedy i uważam do dziś, że nasze miejsce jest tutaj, że powinniśmy takim wyjazdem zapobiegać, starać się zatrzymać tu każdego Ślązaka, bo tu jest jego *Heimat*.

Z tych powodów nie przyłączyłem się do ruchu DFK. No, a potem polskie władze ten ruch rozbiły, a co najmniej mocno osłabiły. Najpierw działaczy zaczęła nachodzić Służba Bezpieczeństwa, szykanować milicja, robiono na nich nagonki w zakładach pracy, podszuczowano polskich znajomych i sąsiadów, a potem władze nagle, po czterdziestu latach odmawiania dawały paszporty na wyjazd na stałe do Niemiec. I działacze jechali.

Przed rokiem, gdy zbaczyłem, że w ZSRR zaczynają się organizować tamtejsi Polacy, zrozumiałem, że jest to dla nas wielka szansa. Skoro Polacy w ZSRR mają otrzymać przysługujące im prawa, to nie można takich praw odmówić Niemcom w Polsce.

Postanowiłem zorganizować społeczność niemiecką na trwałych zasadach. Celem podstawowym miała być walka o prawo do legalnego, zorganizowanego życia narodowego mniejszości niemieckiej na tych ziemiach. Bezpośrednim bodźcem do działania była słynna wypowiedź prymasa Glempa, że nie widzi on potrzeby odprawiania na Opolszczyźnie mszy świętej w języku niemieckim, bo nie ma tam niemieckiej mniejszości. Zacząłem zbierać podpisy od Ślązaków poczuwających się do pochodzenia niemieckiego po to, żeby udowodnić, że mniejszość jest. Po odmowie zarejestrowania w lipcu tego roku przez sąd wojewódzki w Opolu Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego Mniejszości Niemieckiej na Śląsku Opolskim postanowiliśmy kontynuować zbieranie podpisów. Gdy przed wizytą kanclerza Kohla liczba deklaracji przekroczyła 250 tys., zbieranie ich przerwaliśmy. Udowodniliśmy istnienie mniejszości niemieckiej i już nie miało żadnego znaczenia, czy do niemieckiego pochodzenia przyznaje się 300 czy 400 tys. Opolan.

— Ilu według pana, członków liczyć będzie Stowarzyszenie po zarejestrowaniu?

— Na Śląsku Opolskim co najmniej 350 tys. członków. W całej Polsce ludzie przyznających się do niemieckiego pochodzenia będzie na pewno więcej. Organizacje mniejszości niemieckiej tworzą się w poszczególnych województwach. W Katowicach powstało na przykład Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Ludności Pochodzenia Niemieckiego, przygotowują się do wystąpienia o rejestrację organizacje mniejszości w Gdańsku, Olsztynie, Poznaniu, Pile, Wrocławiu, Jeleniej Górze, Częstochowie. Ilu jest w Polsce obywateli pochodzenia niemieckiego, tego nie wie dzisiaj nikt. Okaze się to po zarejestrowaniu naszych organizacji.

— Czy powstanie ogólnopolska organizacja mniejszości niemieckiej?

— Później, gdy okrzepną stowarzyszenia wojewódzkie zapewne tak. W każdym razie będziemy zdecydowanie do tego dążyć. Stowarzyszenie opolskie, jako bez wątpienia najliczniejsze, będzie miało w tej sprawie dużo do powiedzenia.

— Kto będzie mógł należeć do Stowarzyszenia?

— W zasadzie będzie trzeba wypełnić deklarację i złożyć dokumenty potwierdzające przynależność do narodu niemieckiego. Kryteria będziemy mieli podobne do obowiązujących w RFN przy udowadnianiu — w celu uzyskania obywatelstwa — że jest się Niemcem. Z jednym wszakże wyjątkiem: jeśli w RFN ktoś udowodni swe niemieckie pochodzenie, to jego współmałżonek, który nie jest narodowości niemieckiej, otrzyma obywatelstwo automatycznie. U nas współmałżonek taki nie może być członkiem Stowarzyszenia, co najwyżej członkiem honorowym. Tak więc na przykład żona mojego syna Henryka, która jest Polką, nie będzie mogła zostać członkiem zwyczajnym Stowarzyszenia. Dzieci z małżeństw mieszanych, o ile wyrażą takie pragnienie, do naszej organizacji będą mogły należeć.

— Czy to prawda, że ludzie zapisywali się na wasze listy licząc na korzyści materialne?

— Na co liczyli, to ja nie wiem, w każdym razie niczego od organizatorów nie dostali, wręcz przeciwnie, każdemu tłumaczyliśmy, że za złożenie podpisu nic z RFN nie dostaną.

— Nie mówię o plotkach, że podpisującemu wręczał pan po sto marek, a po 50 za zapisanie każdego z nieletnich dzieci. Jednak jest faktem, że pochodzenie niemieckie właściwie gwarantuje otrzymanie niemieckiej wizej. Członkowie organizacji mniejszości mogą bez kłopotu otrzymać w RFN prawo do legalnej pracy czasowej i będzie to ważnym przywilejem.

— Po pierwsze, to pracować tam tak czy tak by mogli, niezależnie od tego, czy tu się zapiszą do jakiejś organizacji, czy nie. Po drugie zaś, jeśli polska gospodarka wyjdzie na prostą, wyjazd do RFN może przestać być tak bardzo atrakcyjny.

— Jakie są cele Stowarzyszenia?

— Przede wszystkim chcemy chronić język niemiecki. Chcemy, by w szkołach Opolszczyzny dzieci na życzenie rodziców mogły się uczyć języka niemieckiego w wymiarze godzin nie ustępującym nauce języka polskiego. Dla dzieci niemieckich można by utworzyć klasy z rozszerzonym programem nauki języka. Chcemy stworzyć sieć niemieckojęzycznych bibliotek i wiejskich wypożyczalni.

Pragniemy, by w kościołach odbywały się nabożeństwa zarówno po polsku, jak i po niemiecku. Chcemy, by ilość nabożeństw w danym języku odpowiadała proporcjom narodowościowym w danej miejscowości. W Gogolinie na przykład w myśl tej zasady połowa nabożeństw odprawiana by była po polsku, połowa zaś po niemiecku. Zdajemy sobie sprawę, że część księży nie zna języka niemieckiego i nawet przy dużej dla nas życzliwości nabożeństw odprawiać po niemiecku nie może. Niechaj więc księża ci odprawiają je po łacinie, a wierni niech choć śpiewają w swym języku ojczystym.

Chcemy kultywować tutejsze prastare obyczaje chcemy otoczyć opieką pamiątki niemieckiej przeszłości na tych ziemiach. Będziemy dążyć do zahamowania fali wyjazdów do RFN, zwłaszcza ludzi młodych. Opolska wieś wyludnia się i jest to tragedia dla tych ziem. Mam nadzieję, że w przyszłości uda się nam ściągnąć z powrotem część tych którzy wyjechali do RFN. Byłoby to możliwe, gdyby udało się wprowadzić zasadę podwójnego obywatelstwa mniejszości polskiej w RFN. Tacy ludzie mogliby krążyć między obu państwami, budować prywatne i gospodarcze więzy. Tu zostawiałby swoje marki, co też nie jest bez znaczenia.

— Czy sądzi pan, że polscy biskupi uwzględnią wasze oczekiwania w kwestii niemieckojęzycznych mszy świętych?

— Mamy taką nadzieję. Polscy proboszczowie, jak mi się wydaje, rozumieją naszą sytuację. Nawet jeśli nie są nam życzliwi, to zachowują poprawną neutralność. Liczymy na zrozumienie biskupa Nossola, też opolskiego autochtona. W końcu odprawianie co niedziele, od 4 czerwca tego roku, mszy świętej w języku niemieckim na Górze Św. Anny dowiodło, że nie taki diabeł straszny, jak go malują. Nic złego się nie stało, właściwie wszyscy są zadowoleni. Zresztą przed wojną na tych terenach regułą było odprawianie mszy świętej po polsku i po niemiecku.

— Jakiego rodzaju pomoc otrzymujecie panowie od ambasady RFN w Warszawie?

— Szczerze mówiąc, to praktycznie żadnej. W początkowym okresie zbierania podpisów, gdy obawiałem się konfiskaty list przez SB, ich kopie odwoziłem do ambasady w celu zabezpieczenia. Po zebraniu mniej więcej 100 tys. podpisów, gdy okazało się, że SB nie ma zamiaru list zabierać, przestaliśmy je przysyłać do Warszawy.

W ambasadzie bywam bardzo rzadko. Muszę zresztą powiedzieć, iż naszym zdaniem nie zawsze znajdujemy u urzędników ambasady właściwe zrozumienie, zdarzają się też czasem konflikty. Tak naprawdę w naszej pracy możemy liczyć tylko na swoje siły. Na przykład na samą korespondencję i wyjazdy w teren wydałem parę milionów złotych, których nikt mi nie zwróci. Całe szczęście, że jeszcze stać mnie na to.

— Co pan chciałby osiągnąć poprzez działanie w Stowarzyszeniu?

— Chcę, żeby moi rodacy poczuli się pełnoprawnymi obywatelami, by mieli swobodny dostęp do niemieckiej kultury, by czuli się bezpiecznie. Marzę o tym, by wieczorem wraz z przyjaciółmi zaśpiewać w ogródku niemieckie pieśni i nie zostać obrzuconym kamieniami.

— A dziś kamienie by polecały?

— O, tak.

— Czy jednak nie dlatego właśnie, że organizując stowarzyszenie mniejszości niemieckiej burzy pan poczucie bezpieczeństwa u mieszkających tu Polaków? Od kilku miesięcy niebezpiecznie rośnie ilość konfliktów na tle narodowościowym, mnożą się sprzeczki, kłótnie, awantury. Tego wcześniej tu nie było, konflikty do tej pory ograniczały się do przezywania autochtonów „hansami”, zaś Polaków „chadziajami”. W swym Gogolinie powszechne jest wśród Polaków oburzenie na brutalne antypolskie wypowiedzi niemieckich mieszkańców Gogolina, przytoczone przez zachodniemiecki „Stern”. Mówi pan o budowie zgody między Polakami i Niemcami, a zgodę tę w istocie skutecznie pan rujnuje.

— Szczerze pragniemy zgody i staramy się ją w praktyce budować. Skutecznie przeszkadzają nam w tym jednak polscy komuniści. „Trybuna Opolska” nieustannie publikuje jątrzące, szczujące na nas artykuły. Pełno w nich kłamstw, pomówień i oszczerstw. Niewiele lepsza jest „Trybuna Ludu”. To te gazety rozbudzają dawne lęki Polaków przed Niemcami. Drażnią, niepokoją Polaków, ale i drażnią nas, Niemców. Zachodniemiecki dziennikarz wysłuchiwał wypowiedzi niemieckich mieszkańców Gogolina tuż po serii złośliwych napaści „Trybuny Opolskiej”. Zdenerwowani ludzie bez zastanowienia, w złości pletli, co im tylko ślina na język przyniosła. Normalnie tak obraźliwych opinii by nie wypowiadali. Inna sprawa, że częściowo relacja ta jest sfalszowana. Cytuje się tam na przykład wypowiedź kogoś, kto na spotkaniu nie był, o czym świetnie wiedzą i gogolińscy Niemcy i Polacy.

Z moją sąsiadką do tej pory żyliśmy bardzo dobrze, pomagaliśmy sobie. Teraz

mnie nie zauważa, już się sobie nie kłaniamy. To skutek nagonki partyjnych gazet. My, opolscy Niemcy, staliśmy się przedmiotem politycznej rozgrywki między Polakami. Komuniści szcują na nas czytelników swych gazet, chcą nas zożydzić w oczach Polaków, by potem móc kompromitować „Solidarność”, która jest nam życziwa: „Patrzcie, oto „Solidarność” wyprzedaje Ziemię Zachodnie Niemcom!”.

— Jeśli partyjna propaganda atakuje was tak skutecznie, to także dlatego, że dostarczacie jej propagandowej amunicji. Wystąpienia ministra Waigla czy uporczywe uchylanie się kanclerza Kohla od jasnego potwierdzenia bezpieczeństwa i nienaruszalności zachodnich granic Polski sympatii tu wam nie jedną.

— My nie możemy odpowiadać za to, co zachodnioniemieccy politycy powiedzieli albo zrobili. Na przykład z wystąpieniem Waigla się nie zgadzamy, co jednak dla naszej praktycznej działalności nie ma znaczenia, ponieważ my wystrzegamy się wszelkiej polityki. Nie chcemy składać politycznych deklaracji. Nie mamy zamiaru wszczynać jakiegokolwiek dyskusji w sprawie granic. Nie znaczy to jednak, że nasi polscy sąsiedzi czy Polacy w ogóle powinni czuć się zaniepokojeni faktem naszego istnienia. Nieprzypadkowo, po długich dyskusjach, przybraliśmy nazwę stowarzyszenia mniejszości niemieckiej, a nie osób pochodzenia niemieckiego czy po prostu Niemców. Proszę zauważyć, że pojęcie mniejszości niemieckiej ma sens tylko w odniesieniu do Niemców mieszkających poza granicami jakiegokolwiek państwa niemieckiego.

POJEDNANIE DLA PRZYSZŁOŚCI

ROZMOWA Z DIETMAREM A. BREHMEREM, LIDEREM NIEMIECKIEJ WSPÓLNOTY ROBOCZEJ „POJEDNANIE I PRZYSZŁOŚĆ” *

— W pierwszych po wojnie demokratycznych wyborach kandydował pan do Senatu, wysunięty przez Górnośląskie Towarzystwo Charytatywne w Katowicach. Szanse zwycięstwa były wtedy nikłe, zwłaszcza dla człowieka deklarującego niemiecką tożsamość narodową, lecz nazwisko — Dietmar Brehmer — stało się od tego czasu bardzo głośne nie tylko na Śląsku. Chciałabym zapytać: do kogo odwoływał się w swojej kampanii Dietmar Brehmer — katowiczanie, absolwent AWF w Warszawie, stypendysta Friedrich Neumann Stiftung, doktorant Uniwersytetu oraz Niemieckiej Wyższej Szkoły Sportu w Kolonii?

— Ta kampania była w istocie bardzo skromna, kosztowała nie więcej niż 90 tys. złotych, ale każdy musiał przyznać, że w czerwcu 1989 r. byłem w województwie katowickim jedynym naprawdę niezależnym kandydatem. Na swoich plakatach umieściłem hasło — „Tak dla Górnego Śląska i Ojczyzny. Tak dla nadziei i przyszłości. Tak dla chrześcijańskiej Europy”. Zabrzmiało to wówczas bardzo donośnie, gdyż nikt nie odwoływał się przedtem tak wyraźnie do idei jedności chrześcijańskiej Europy. Miałem dużo spotkań z wyborcami. Nie mówili wówczas jeszcze o swej niemieckości. Twierdzili, że czują się przede wszystkim Ślązakami i uważali mnie za swego reprezentanta. Inne moje plakaty zawierały hasło: „Jestem dumny, że jestem Ślązakiem. Ty również?” Rozwiesiliśmy je w dzielnicach nędzy, w familokach, gdzie ludzie przez długie lata bali się mówić o swoim pochodzeniu i wstydzieli się swej śląskiej gwary, uważanej przez element napły-

* „Życie Warszawy” z 24 - 25 XI 1990.

wowy za coś gorszego i prymitywnego. Gdzie komunistyczna propaganda niemal całkowicie zniszczyła rodzimą śląską kulturę — chóry, teatry amatorskie, małe orkiestry dęte. Dlatego — sądzę — głosowali na mnie głównie autochtoni.

— Górnośląskie Towarzystwo Charytatywne, którego jest pan założycielem i przewodniczącym pracuje od kwietnia 1989 r. Przyznam, że nie tyle fakt jego istnienia, co ogromny zakres działalności nie bardzo przystaje do wyniesionego przez moje pokolenia z lat gierkowskich stereotypu rządowego i zamożnego Śląska.

— Opinia o śląskim Klondike to jeszcze jeden z komunistycznych mitów. Oczywiście, dobrze miała się tu nomenklatura, ale rodowici Ślązacy nigdy do niej nie należeli. Śląsk jest naprawdę regionem zaniedbanym i biednym. Środowisko wielkoprzemysłowe to przecież i dziewiętnastowieczne familoki i slumsy, w których żyje nadal ok. 11-12% Ślązaków. Nie muszę chyba mówić długo o katastrofalnej sytuacji ekologicznej, o skażeniu powietrza, chorobach dzieci, wysokiej umieralności niemowląt, bardzo dużej liczbie poronień. Nędza dotyka środowiska robotnicze, ludzi starych i samotnych, których na Śląsku — opuszczonym przez młodych — nie brakuje. Nie wspominam już o powstałej tu pustyni kulturalnej i zaniedbaniach cywilizacyjnych. Nasze Towarzystwo ma tu ogromne pole do działania.

— Kto pracuje w Towarzystwie i jakie są zasady jego działalności?

— Bez fałszywej dumy mogę powiedzieć, że Towarzystwo jest dziś największą niezależną organizacją charytatywną w Polsce. Opieramy się na podstawach chrześcijańskich, pomagając wszystkim, bez względu na pochodzenie narodowe i społeczne, zapatrywania polityczne oraz wyznanie. W statucie mamy punkt, który mówi, że pragniemy pomagać ludziom z mniejszości niemieckiej. Chciałem podkreślić tę niemieckość, tym bardziej iż pracują w Towarzystwie ludzie o niemieckiej tożsamości narodowej. Pracują jednak obok Polaków, Słowaków, Ukraińców i Żydów, bowiem spotykają się tu wszystkie nacje żyjące na Śląsku. W tym wspólnym wysiłku na rzecz chorych i potrzebujących widzę próbę powrotu do pięknych a zagubionych tradycji Śląska, który dawniej był przykładem zgodnego współżycia ludzi różnych narodowości, kultur i religii. Zakończyło się ono w 1933 r., gdy do głosu doszły tu idee faszyzmu.

— Kilkakrotnie wspominał pan o chrześcijańskiej idei pomocy bliźnim. Czy to główna motywacja pańskiej społecznej aktywności?

— Nie. Chciałbym także, aby podjęte przeze mnie i moich przyjaciół działania wpłynęły na zmianę obrazu Niemca w polskich oczach. Wynika to z bardzo osobistego przeżywania mojej niemieckości. Żyję wśród Polaków od urodzenia i wiem, jak wiele krzywd wyrządzili im moi rodacy. Jestem Niemcem, nie mogę nie pamiętać o naszej powojennej poniewierce, wysiedleniach, nędzy i wynaradawianiu, ale zdaję sobie sprawę, że po wydarzeniach II wojny i okupacji hitlerowskiej trudno będzie odzyskać nam zaufanie Polaków, zwłaszcza tych ze starszego pokolenia.

— Wierzy pan, że jest to do końca możliwe?

— Czy gdybym nie wierzył, podjąłbym się takiej roli? W naszym pojednaniu może bardzo pomóc bliski zarówno Niemcom, jak i Polakom system wartości chrześcijańskich. Odwołuję się zatem do niego, widząc w tym ważne spoiwo zjednoczonej Europy.

— Zmiany polityczne w naszym kraju spowodowały odkłamanie problematyki praw człowieka. Coraz częściej mówi się o prawach mniejszości, w tym również niemieckiej. Mniejszość ta zyskała teraz możliwość skupiania się w różnego rodzaju stowarzyszeniach. Wczesną jesienią br. wyłoniły one swe oficjalne przedstawicieli.

cielstwo — Naczelną Radę Stowarzyszeń Ludności Niemieckiej w RP. Do niedawna pełnił pan w niej funkcję sekretarza generalnego...

— Naczelna Rada powstała we wrześniu br. m.in. z inspiracji Górnośląskiego Towarzystwa Charytatywnego, przy akceptacji zarówno rządu polskiego, jak i niemieckiego. Siedzibą Rady stały się Katowice, zaś bazą lokalową stworzyło moje Towarzystwo. Powierzono mi wówczas funkcję sekretarza generalnego.

— Pod pana kierownictwem Rada przekształciła się w sprawnie działający organizm przedstawicielski, a jej posunięcia spotykały się z aprobatą rządowej strony polskiej i niemieckiej. Dowodem tego np. wasza październikowa wizyta w RFN i rozmowy z czołowymi politykami niemieckimi: wicekanclerzem i ministrem spraw zagranicznych H.-D. Genscherem, przewodniczącym SPD H. J. Voglem, przewodniczącymi frakcji parlamentarnych — W. Mischnikiem z FDP i A. Dreggerem z CDU/CSU. Jakże były zatem przyczyny odwołania pana z funkcji sekretarza generalnego i wykluczenia z Rady?

— Mówi pani o naszych pracach. Mogę śmiało powiedzieć, że naprawdę odnieśliśmy sukces. Tak organizacyjny, jak i polityczny i prestiżowy. Obie strony uznały w nas partnera, z którym warto i należy rozpocząć dialog. Dlatego trudno mi zrozumieć powody tego odwołania. Doszło do niego, gdy wraz z delegacją Rady Naczelnej przebywałem na zaproszenie BDV w Niemczech. Na kongresie BDV zaprezentowałem koncepcję konstruktywnych działań służących pojednaniu i współpracy polsko-niemieckiej, zgodnie z intencjami obu rządów i ideą zjednoczonej Europy. I oto po powrocie do Polski dowiedziałem się telefonicznie, że wykluczono mnie z Rady.

— Ponawiam pytanie o przyczyny tej decyzji.

— Niech mi pani wierzy, nie znam ich, a wolałbym nie uciekać się do dywagacji. Podczas niedawnej sesji w Krakowie dwaj dawni koledzy z Rady powiedzieli mi: Dietmar, już nie pójdziemy razem, pójdziemy obok siebie. I to było wszystko...

— Czy należy rozumieć, że rolę reprezentanta mniejszości niemieckiej przejęły teraz inne siły, mniej otwarte na współpracę z Polakami?

— Wolałbym użyć określenia — bardziej ostrożne, zachowujące większy dystans. Rezygnacja Rady ze współpracy z moim zespołem — ludźmi myślącymi konstruktywnie, realistycznie — wytwarza tu pewną lukę i utrudnia dialog polsko-niemiecki. Staramy się jednak wypełnić tę pustkę polityczną. Służy temu powołana przez nas organizacja: Niemiecka Wspólnota Robocza „Pojednanie i Przyszłość”.

— Jej program zawiera się w samej nazwie.

— Oczywiście naszym zadaniem — podkreślamy — nie jest spoglądanie wstecz. Nie kierujemy się emocjami, lecz racjonalną oceną rzeczywistości europejskiej. Akcentujemy potrzebę międzyludzkich więzi Polaków i Niemców — obywateli Europy. Mniejszość niemiecka, której winno się zagwarantować odpowiednie prawa, pełniłaby rolę pomostu pomiędzy narodami Polski i Niemiec. Chcemy włączyć się w dzieło ratowania Górnego Śląska przed cywilizacyjną zapaścią i degradacją ekologiczną, zdrowotną, gospodarczą, kulturalno-oświatową i socjalną. Leży to bowiem we wspólnym interesie ludności polskiego i niemieckiego pochodzenia oraz wszystkich zamieszkujących Śląsk nacji. Wierzymy, że mniejszość niemiecka potrafi wykorzystać te zmiany, jakie zawdzięczamy „Solidarności”. Że będzie umiała wpisać się w nowy klimat stosunków polsko-niemieckich, którego najdonioślejszym przejawem jest podpisanie traktatu granicznego.

— Tymczasem jednak obserwujemy zamykanie się części mniejszości niemieckiej we własnych gettach, myślenie w kategoriach resentymów...

— To prawda, ale ten sposób myślenia wcale wśród nas nie przeważa. Uwa-

zam, że nie wolno nam się izolować. Mamy przecież teraz wspaniały czas, sprzyjający wybaczeniu i współpracy, a nie pielęgnowaniu starych urazów i uprzedzeń. Ja wiem, że jest ich po obu stronach немало. Mniejszość np. mówi o swojej powojennej poniewierce, Polacy przesiedleni na Śląsk o swoich nieszczęściach. Łączy ich więc wspólna tragedia, a przecież najgorzej byłoby pozwolić sobie na zaostrzenie się nacjonalizmów. Trzeba szukać tego, co nas zbliża i zachować lojalność wobec kierunku obranego przez rząd Rzeczypospolitej Polskiej i RFN.

Joanna Stempień

KRÓL KONTRA BREHMER. NIEWYPAL W HOTELU STRENG *
Oslawione „16 punktów” mniejszości niemieckiej powstało pośpiesznie, przy udziale sekretarza generalnego Związku Wypędzonych BdV Hartmuta Koschyka

Pierwszy zaatakował publicznie Henryk Król, członek prezydium Centralnej Rady Towarzystw Niemieckich w Rzeczypospolitej Polskiej. W wywiadzie dla „Gazety Opolskiej” z końca lutego 1990 r. zarzucił Dietmarowi A. Brehmerowi, byłemu sekretarzowi tejże Rady, mianowanie się sekretarzem generalnym RN, uczynienie Katowic „stolicą ruchu”, wyznaczenie ekspertów i doradców Rady bez porozumienia się z członkami prezydium, wreszcie — sporządzanie dokumentów sygnowanych przez Radę, które nie były dyskutowane i uchwalane. Tak było np. — zdaniem Henryka Króla — z memoriałem, który został wysłany do obu rządów: polskiego i niemieckiego. Król nazywa memoriał „18 punktami Brehmera”. „Poza tym — mówi Król — Brehmer zachował się nielojalnie, bo wręczył Genscherowi swój dokument, a przedtem wspólnie uzgodniliśmy, że otrzyma on jedynie nasze »16 punktów«. Dlatego i tylko dlatego Brehmer został wycofany”.

Te 16 punktów to klucz do całej sprawy. Ale po kolei. D. Brehmer przyjmuje mnie bez ceregieli. — Rzeczywiście — oznajmia na powitanie — usunięcie mnie z Rady to była mała rewolucja w stylu kremlofskim. Pozbawienie mnie funkcji w Radzie, do której powstania się przyczyniłem. Po tym, co pan Król oświadczył, czuję się jednak zwolniony z konieczności utrzymywania w dyskrekcji przed prasą ważnych szczegółów z działalności Ruchu Mniejszości Niemieckiej. Ta dyskrekcja powodowana była m.in. obawą o pogłębienie się sporów pomiędzy tzw. grupą gogolińską a grupą katowicką; pomiędzy Śląskiem Opolskim a regionem wielkoprzemysłowym.

Brehmer szybko doszedł do wniosku, że działacze gogolińscy nie rozumieją specyfiki regionu górnośląskiego. Podważają np. potrzebę działalności Górnośląskiego Towarzystwa Charytatywnego, kwestionują pomoc materialną dla regionu. — Im zawsze się dobrze powodziło i powodzi — mówi Brehmer, obecnie lider Niemieckiej Wspólnoty Roboczej „Pojednanie i Przyszłość”.

Brehmer nie tai, iż postawiono mu zarzut, że pracuje nie tyle dla mniejszości, ile „na rzecz pojednania polsko-niemieckiego”. On sam powiada, że pracuje dla słabszych. Przypomina, że Rada Naczelna Stowarzyszeń Niemieckich w RP była wybierana dwukrotnie. Są protokoły, można sprawdzić, czy Brehmer mianował się sam. Po pierwsze, delegaci Ruchu Mniejszości Niemieckiej z całej Polski spotkali

* „Wprost” nr 13/1991.

się w Katowicach. W Katowicach też powstał pierwszy dokument dotyczący mniejszości niemieckiej. Nosił on nazwę *Deklaracja programowa ruchu mniejszości niemieckich w Polsce*. Ów dokument stał się podstawą do sporządzenia memoriału Rady Naczelnej; został przyjęty przez dziewięciu członków Rady, obecnych na posiedzeniu w Katowicach. I tenże właśnie memoriał Henryk Król określił jako „18 punktów Brehmera”. W istocie było to kilkadziesiąt konkretnych, precyzyjnych wniosków i postulatów. Ot, chociażby dotyczących utworzenia Niemieckiej Izby Przemysłowo-Handlowej w Katowicach dla inicjowania działalności gospodarczej i przemysłowej, założenia Izby ds. Rolnictwa i Produkcji Środków Spożywczych w Opolu, powołania filii banku niemieckiego lub banków zajmujących się transferami dewizowymi, jak również finansowaniem działalności gospodarczej, podejmowanej przez osoby, instytucje i środowiska niemieckie w Polsce, dalej — utworzenia Niemieckiego Towarzystwa Gospodarczego, powołania gimnazjów niemieckojęzycznych w większych miastach, rozwijania działalności kulturalnej itd., itp.

Kilka dni później odbyło się spotkanie we Wrocławiu. Wcześniej Brehmer udzielił wywiadu telewizji polskiej, w którym opowiedział się za ostatecznym uznaniem granicy na Odrze i Nysie.

— Stawiano mi wiele zarzutów — stwierdza — zapomniano przy tym, iż Ruchowi Mniejszości Niemieckiej dała początek właśnie grupa z okręgu wielkoprze-mysłowego. Już wcześniej, jako członek forum polsko-niemieckiego, miałem odwagę reprezentować mniejszość niemiecką, którą wówczas — jak to dziś dziwnie brzmi — były minister spraw wewnętrznych obliczał na 2,5 tys. osób. Miałem świadomość, że Gogolin i Opolszczyzna nie są zorganizowane. Wszystkich zaprosiłem więc do Katowic. Faktem jest, że stałem się o ekspertów i doradców, ale to chyba normalne. Mniejszości niemieckiej brakuje inteligencji — ludzie wykształceni wyjechali w większości do Niemiec. Wśród ekspertów było wielu członków DFK (Kół Przyjaźni Niemieckiej), w tym z Opolszczyzny. Decyzję zawsze jednak podejmowało prezydium. Pomimo wielu przykrych doświadczeń, od początku stałem na stanowisku, że dla mniejszości niemieckiej w Polsce nie ma innej drogi, jak tylko współpraca z Polakami. Współpraca eliminuje bowiem w zarodku wszelkie nacjonalizmy. Mój punkt wyjścia do działalności mniejszości niemieckiej w istocie oznacza akceptację jednocześnie polskiej i niemieckiej racji stanu.

Brehmer pozbawiony został swojej funkcji na kilka dni przed ważnymi rozmowami polsko-niemieckimi we Frankfurcie nad Odrą. W tym przygranicznym mieście spotkali się jesienią ub. roku były premier RP Tadeusz Mazowiecki z kanclerzem Helmutem Kohlem. Brehmer cieszył się poważaniem ministra Genschera, a ów fakt wywoływał zazdrość u jego politycznych przeciwników. Wreszcie przyszło zaproszenie do RFN. Należało przygotować odpowiedni dokument, który by precyzował postulaty mniejszości niemieckiej wobec rządu polskiego i niemieckiego. Ni stąd, ni zowąd działacze z Gogolina skierowali kilkanaście punktów do ambasady amerykańskiej w Polsce. W jakim celu?

Brehmer uznał, że podstawą do dyskusji nad prawami mniejszości niemieckiej w Polsce powinien być memoriał Rady Naczelnej Stowarzyszeń Niemieckich w RP. Z tym też dokumentem, na zaproszenie ambasadora niemieckiego, Prezydium Rady Naczelnej — z wyjątkiem Henryka Króla — pojechało do rezydencji ambasadora niemieckiego w Warszawie. Ambasador, w obecności przedstawiciela rządu polskiego, zapoznał się z dokumentem i stwierdził, iż wprawdzie odzwierciedla on generalnie pragnienia mniejszości niemieckiej, to jednak jest zbyt „ostry”, by przedstawić go oficjalnie stronie polskiej. Niemniej jednak memoriał został przekazany jako tzw. dokument roboczy (*Arbeitspapier*) i drogą dyplomatyczną powędrował również do Bonn. Delegacja mniejszości niemieckiej miała

właśnie spotkać się z wicekanclerzem Genscherem, gdy dzień wcześniej ów dokument zastąpił inny. Nowy zredagowano w hotelu Streng w Rheinbach niedaleko Kolonii pod nieobecność Dietmara Brehmera, ba przy udziale sekretarza generalnego Związku Wypędzonych BdV Hartmuta Koschyka. Tam właśnie stworzono pospiesznie osławione „16 punktów”. Wśród nich był m.in. punkt zakazujący asymilacji nie tylko w formie bezpośredniej, ale również w formie pośredniej — w drodze przedsięwzięć gospodarczych, kulturalnych, administracyjnych, społecznych i innych, punkt dotyczący zabezpieczenia prawa do niemieckiej przynależności państwowej czy wreszcie nieograniczonej współpracy pomiędzy organizacjami Niemców w Polsce i organizacjami wypędzonych w RFN.

— Uważam, że przekazanie tych „16 punktów” Genscherowi było nietaktem, był to także poważny błąd polityczny, który mści się przez cały czas, od chwili opublikowania treści tego dokumentu — mówi Brehmer. — Co było szkodliwe w tych „16 punktach”? Przede wszystkim hasłowość, co z góry dopuszcza szerokie interpretacje. Zresztą Genscher od początku pytał, co właściwie oznaczają te punkty.

O co właściwie zatem toczy się spór między Henrykiem Królem i grupą gogolińską, a Dietmarem Brehmerem, działaczami mniejszości niemieckiej z Górnego Śląska? Nie ulega wątpliwości, że jest to spór o pojmowanie istoty współczesnej polityki. Co przeważa na szali: polityczne ambicje liderów czy to co zostało zapisane w memoriale Rady Naczelnej Stowarzyszeń Niemieckich: „W stosunkach niemiecko-polskich nastąpi obecnie czas pojednania, doskonałej współpracy i partnerstwa w budowaniu wspólnego europejskiego domu”?

Remigiusz Jakubowski